

CYKL Z KOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław  
**GORZKA**

**MARTWY  
SĄD**



BUKOWY LAS



– Kto to jest? – Kaśka zdjęła z lodówki oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcie. Marcin zastygł w bezruchu, nalewając kawę z dzbanka do dwóch wielkich kubków. Nie pamiętał już, że ta fotografia wciąż stoi na lodówce.

– Ja i mój brat – odpowiedział.

– Masz brata bliźniaka? – zdziwiła się.

– Miałem.

– Jak to?

– Nie żyje.

– Nigdy mi nie mówiłeś!

– To było trzydzieści lat temu. Prawie już o tym zapomniałem.

Chodź na kawę.

Kaśka usiadła przy kuchennym stole i wpatrzyła się w zdjęcie. Dwóch jasnowłosych chłopców, w wieku około dwunastu lat, obejmowało się ramionami.

– Jak miał na imię? – zapytała.

Marcin popatrzył na fotografię.

– Rysiek.

– Który jest który?

– Ja stoję po lewej.

– Nigdy bym was nie odróżniła.

– Nauczyciele w szkole też mieli z tym kłopoty. – Uśmiechnął się na wspomnienie dawnych czasów. – Niekiedy zamienialiśmy się rolami. To zawsze Rysiek miał takie pomysły. Był moim przeciwieństwem. Ja byłem grzeczny i cichy, a on... – zawiesił głos – bardziej żywy.

Umilkł nagle, zdziwiony, że wspomnienie brata tak boli. Sięgnął po kubek i upił łyk gorącej kawy. Przyjemne ciepło popłynęło do żołądka.

Poprzedniego dnia, w sobotę, umówili się w rynku na kawę, a skończyło się na dyskotecze w klubie Jazzda i paru drinkach za dużo. Kaśka straciła kontakt z rzeczywistością. Marcin musiał ją zanieść do taksówki, zawieźć do siebie do mieszkania i położyć w łóżku. Sam spał na sofie w drugim pokoju.

Teraz dochodziło południe.

– Strasznie się dzisiaj czuję – powiedziała, wzdychając. – Nie powinnam pić tych drinków na koniec.

Stary przelewowy ekspres do kawy ostatni raz prychnął, zasyczał i zamilkł.

– Marcin?

Spojrzeni sobie w oczy.

– Słucham?

– Obiecuj, że nie powiesz Tymonowi, że nocowałam dzisiaj u ciebie.

– Byłby zazdrosny?

– A jak myślisz? O ciebie zawsze jest zazdrosny.

– Widocznie ma powód.

– Przestań, przecież tyle razy o tym rozmawialiśmy.

Podniósł dwa palce w górę.

– Obiecuję, że nic nie powiem.

Znali się od ponad pięciu lat. Spotkali się u znajomych i zaiskrzyło, ale Kaśka miała wtedy męża, mówiła, że zdrada nie jest w jej stylu. Raz tylko, kiedy wracali z zakrapianej imprezy, całowali się w taksówce i przed bramą bloku Kaśki.

Dwa lata później się rozwiodła, ale wtedy Marcin był już z dawną koleżanką ze studiów i miał wielkie plany na przyszłość. Nic z nich nie wyszło. Teraz, kiedy znowu był sam, Kaśka spotykała się z ich wspólnym kolegą Tymonem i nie miała siły tego zmieniać. Jednak cały czas się przyjaźnili. Gadali przy piwie o rzeczach, o których nie mówili swoim partnerom. Marcin uważał, że są dla siebie stworzeni, ale ustalili kiedyś, że zostaną tylko przyjaciółmi.

– Wzięłaś ibuprom?

Przytaknęła.

– Dwie tabletki, jak mówiłem?

– Nie, jedną.

– No i dlaczego?

Zrobiła niewinną minę. Z potarganymi ciemnymi włosami wyglądała prześlicznie.

– Jak zmarł? – zmieniła temat.

– Kto?

– Twój brat.

Zastanowił się. Pytała o sprawy, o których nie myślał od bardzo dawna.

– Właściwie nie umarł – odrzekł.

– Nie rozumiem.

– Zaginął. – Wzruszył ramionami. – Któregoś dnia wyszedł z domu i nigdy nie wrócił.

Kaśka chyba nie wiedziała, co powiedzieć.

– To był dzień jak każdy inny. Wracaliśmy od dziadka do domu – kontynuował Marcin. – Rysiek wsiadł na rower i pojechał. Pamiętam jeszcze, jak zniknął za zakrętem. Mieszkaliśmy wtedy na wsi, w Szczepanowie koło Środy Śląskiej. Nikt więcej Ryśka nie widział. Jakby zapadł się pod ziemię. Ciała nigdy nie odnaleziono, więc po pewnym czasie uznano go za zmarłego. Nawet jest jego grób na cmentarzu w Szczepanowie, tylko pusty.

– To straszne... Musiałeś bardzo przeżyć jego zaginięcie.

Wziął do ręki fotografię i długo się jej przyglądał.

– Dziwne, ale tamte chwile pamiętam jak przez mgłę. Zatarte obrazy, szczątki zdań... i nic więcej.

– To naturalne zachowanie obronne, twój umysł wykasował wspomnienia przeżytej w dzieciństwie traumy.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze?

– Co?

– U nas w rodzinie nie wspomina się Ryśka. Nikt o nim nie mówi, jakby nikt go nie pamiętał. Wszyscy udajemy, że nigdy nie istniał. Tylko pierwszego listopada z przyzwyczajenia zapalamy mu lampki. Postawiłem to zdjęcie na lodówce, żeby o nim

pamiętać. – Znowu uśmiechnął się smutno. – I co się stało? Zapomniałem o nim.

– Nie rób sobie wyrzutów. – Poglaskała go po wierzchu dłoni.

– Przeżyliście koszmar.

– Ale nie powinienem zapomnieć.

– Sam mówiłeś, że minęło trzydzieści lat. Szmata czasu, prehistoria.

– Może racja.

Podniosła kubek do ust, ale zaraz go odstawiła, jakby kawa przestała jej smakować.

– Raz na jakiś czas Rysiek mi się śni – powiedział i zawahał się.

– Właściwie to śni mi się coś, co wydarzyło się naprawdę.

– To ciekawe. Opowiedz.

– Wiesz, w Szczepanowie jest taki bardzo stary kościół z szesnastego wieku, obok stoi plebania i kilka zabudowań. Do kościoła należy też sad, który przylega do cmentarza. Nic wielkiego, kilka grusz rosnących w trzech rzędach, no wiesz. Kiedyś się mówiło „sad u księdza”. Gruszki były przepyszne, słodkie, miały wspaniały aromat. Dzieciaki często się tam zakradały, żeby ukraść parę sztuk. Rysiek i ja też tam chodziliśmy. Ale to była wyprawa dla osób o mocnych nerwach, bo jedyne wejście do sadu prowadziło przez ten przykościelny cmentarz. Nawiedza mnie taki sen: idziemy z Ryśkiem do tego sadu, jest wieczór, mgliście i wtedy ktoś...

Urwał, bo rozdzwonił się telefon Kaśki. Popatrzyła na wyświetlacz.

– Tymon – powiedziała.

Skinął głową. Odebrała.

– Słucham? No, jeszcze sobie plotkujemy... Nie, nie musisz po mnie przyjeżdżać, poradzę sobie. – Roześmiała się. – Pozdrowię ją. Nie, nie będę jej od ciebie całować. – Popatrzyła na Marcina z błyskiem w oku. – Sam możesz ją pocałować, pozwalam ci laskawie. No to buźka. Niedługo będę. Pa!

Marcin odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, zakładając ręce na oparciu.

– Kaśka, przecież wiesz, że powinniśmy być razem. Od dawna.

Zacisnęła usta, nie patrząc na niego.

– Myślałam, że już omówiliśmy tę sprawę. To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie mogę tego zrobić Tymonowi. I tak czuję się, jakbym go zdradzała.

– Przesadzasz.

– Czasem nie wiem, co gorsze, zdrada fizyczna czy psychiczna.

– Spojrzała na niego przeciągle. – Muszę już iść.

Wstali, by się pożegnać. Ona wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję za superwieczór. – Uśmiechnęła się.

– Mam tylko nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi. – Przytulił ją.

Milczeli, każde pogrążone we własnych myślach. Przeszli do przedpokoju. Kaśka zdjęła z wieszaka lekką kurtkę i zaczęła się ubierać.

– Z Ryśkiem musiałeś mieć doskonały kontakt – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Nie próbowałeś go nigdy odszukać? Dowiedzieć się, co tak naprawdę się z nim stało?

– Jak niby miałbym to zrobić? – Rozłożył ręce. – Szukała go milicja w całym kraju.

– Nie wtedy. Teraz. Przecież pracujesz w policji kryminalnej. Macie swoje archiwum X z nierozwiązanymi sprawami sprzed lat. Teraz są nowe możliwości. Trzeba spróbować, przynajmniej poznasz prawdę.

– Myślisz, że chciałbym ją poznać?

– Ja bym chciała. Sam mówiłeś, że minęło trzydzieści lat. Może kiedyś prawda byłaby bolesna, ale teraz, po tylu latach? Na pewno mniej.

Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Że sam na to nie wpadłem – powiedział. – Dziwne, prawda? Znam kogoś w naszym dolnośląskim archiwum X, na pewno mi pomoże. Tylko dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Uśmiechnęła się na do widzenia, zarzuciła na ramię torebkę, ścisnęła mu rękę i już jej nie było.

Zamknął drzwi na zamek i powlókł się do salonu, gdzie zwałił się na fotel. Miał kaca, czuł się ociężały i zmęczony.

– Gówno! – mruknął do siebie, wstał i poszedł do lodówki po piwo.

Tego dnia nigdzie się nie wybierał i uznał, że może poprawić sobie samopoczucie kilkoma butelkami piwa. Zabrał z kuchennego stołu zdjęcie z Ryśkiem i długo się w nie wpatrywał. Później wyciągnął jeszcze stary album z fotografiami, który dała mu mama. Oglądając zdjęcia, czuł ucisk w gardle i pieczenie w oczach. Fotografie były ułożone chronologicznie. Na pierwszej roześmiani młodzi rodzice pchali dwa identyczne wózki z niemowlakami, na następnych dwa ledwo siedzące brzdące płakały na kraciastym kocu rozłożonym na trawie u dziadka w ogrodzie, potem jeden leżał na drugim i się śmiał, a drugi płakał niezadowolony. Dwaj chłopcy w takich samych rajtuzach, stawiający pierwsze kroki po dywanie. Marcin nie potrafił stwierdzić, który to on, a który jego brat. Następne zdjęcia przedstawiały ich ubranych w kraciaste kurtki ze szpiczastymi kapturami, jadących na jednych sankach w zimie, potem były zdjęcia na emzecie wujka. Na końcu brakowało jednej fotografii. Właśnie tej, którą Marcin oprawił w ramkę i postawił na lodówce. Kiedyś ojciec zdradził mu, że to ostatnie zdjęcie Ryśka. Zaginął niecałe dwa tygodnie później. Zdjęcie wywołano już po jego zniknięciu.

Długo siedział z albumem na kolanach. Myślał o Kaśce, swoim pogmatwanym życiu uczuciowym i o Ryśku. Czy zaginięcie brata miało jakiś wpływ na to, że nie potrafił się z nikim związać? Czy brakowało mu połowy siebie?

Na pewno Kaśka miała rację. Powinien chociaż spróbować wrócić do sprawy tego zaginięcia. Nieważne, czy znajdują się akta ze śledztwa, czy uda mu się coś ustalić. Musi spróbować.

## II

W nocy z niedzieli na poniedziałek znowu nawiedził go sen o Ryśku, sadzie i gruszkach. Tym razem w zaskakującej formie.



Jest pochmurno, szaro i chłodno. Z każdym oddechem z ust wydobywa się blada mgiełka pary wodnej. Zatrzymują się pod zardzewiałym ogrodzeniem cmentarza i zostawiają rowery w krzakach. Rysiek podchodzi do zdezelowanej furtki.

– Masz cykora? – pyta z drwiącym uśmiechem. W oczach ma dziwny zły blask, którego Marcin jeszcze nigdy nie widział.

– Nie – rzuca, choć strach paraliżuje mu nogi.

Rysiek nie wierzy.

– Maminsynek się nie boi? – drwi. – To może pójdziesz pierwszy?

Marcin spogląda na cmentarz, przez który wiatr przegania białe tumany mgły. Sadu po drugiej stronie nie widać, tylko gdzieś pod białym całunem można dojrzeć poprzekrzywiane kształty starych krzyży. Wygląda to nierzeczywiście, przerażająco groteskowo.

– Pójdę.

Rusza. Rozgląda się na boki, bo we mgle wydaje mu się, że groby się ruszają. Dochodzą do drugiej furtki, tej prowadzącej do sadu. Marcin ją otwiera i czeka, aż Rysiek przejdzie.

– Nie zamykaj jej, frajerze – szepce brat.

– Dlaczego?

– W razie czego łatwiej będzie zwiać.

Razem wchodzi do sadu. Stare powyginane przez czas grusze rosną równo, posadzone w trzech rzędach po trzy, na łące porośniętej nieskoszoną na jesień trawą. Najpierw łąka opada w dół, trzeba przejść ze dwadzieścia metrów, żeby dojść do płaskiego terenu, i jeszcze raz tyle do pierwszych drzew. Teraz sadek widać dokładnie, pograżony jedynie w lekkiej mgiełce. Za łąką, za zniszczonym ogrodzeniem z kamiennymi słupkami, majaczy gęsto porośnięty krzakami park, który należał przed wojną do majątku tutejszego właściciela ziemskiego, a po wojnie do miejscowego pegeeru.

Najlepsze gruszki leżą w trawie. Pomiędzy tymi robaczywymi i częściowo zgniłymi trafiają się prawdziwe perełki, owoce o fantastycznym aromacie, nienagannie złotej skórce, pod którą czai się słodki i soczysty miąższ. Muszą szybko znaleźć te najlepsze. Rysiek

zbiera gruszki nieco dalej, przy parku, a Marcin klęczy w rzędzie bliżej cmentarnej furtki.

Nagle czuje, że na łące dzieje się coś niedobrego. Podnosi głowę i zamiera. Ogarnia go przerażenie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Od strony parku przesuwa się w ich kierunku ciemna jak sadza, gigantyczna postać bez twarzy. Sunie płynnie, jakby w ogóle nie dotykała stopami ziemi; postrzępione szaty falują na wietrze. Rysiek nie widzi zbliżającego się niebezpieczeństwa, a postać wyciąga już groteskowo długie ręce w jego kierunku. Marcin myśli, że oto widzi diabła.

Chce krzyknąć, lecz nie może wydobyć głosu z gardła. Chce się zerwać, żeby uciec, ale jest tak sparaliżowany strachem, że nawet nie ma siły podnieść się z klęczek. Spogląda do tyłu w kierunku uchylonej furtki cmentarnej, jakby w poszukiwaniu ratunku. Ledwo ją widać pośród mgły. Patrzy znów w kierunku brata i drętwieje.

Diabeł stoi niedaleko, a Rysiek tańczy w trawie. Z wyrazem dzikiego szaleństwa na twarzy podskakuje i kręci piruety z rozłożonymi ramionami. Naraz zatrzymuje się, podbiega do Marcina i spogląda na niego oczami czarnymi i szklistymi jak diamenty.

– Widziałem, jak diabeł chodzi tu na palcach – szeptem chrapliwie.

Odwraca się i zaczyna się oddalać.

– Widziałem, jak diabeł chodzi tu na palcach! – rzuca już głośniejszym głosem.

I nagle znowu zaczyna swój szalony płas.

Sygnal telefonu komórkowego wyrwał Marcina ze snu.

Była pierwsza szesnaście, poniedziałek, 26 września 2011 roku.

### III

Usiadł spocony na łóżku, odruchowo sięgnął po aparat leżący na stoliku nocnym, odebrał, nie patrząc, kto dzwoni, i zaspanym głosem powiedział:

– Zakrzewski, słucham?

W słuchawce usłyszał znajomy głos.

– Sroka z tej strony.

– O tej porze?

– Ja tej godziny nie wybierałem. Mamy morderstwo na Marszowicach. Wszystko jeszcze świeże. Nasza ekipa dopiero się zjeżdża, potrzebuję cię tutaj jak najszybciej.

Marcin obudził się w sekundę.

– Już się zbieram. Jaki adres?

Sroka podał nazwę ulicy i numer domu.

– Wiesz, gdzie to jest? – zapytał na koniec.

– Mam GPS, trafię.

Marcin zerwał się z łóżka, zapominając o śnie. Ubierał się prawie po ciemku, tylko przy świetle nocnej lampki. Wpadł na moment do łazienki, zaczesał włosy i pobieżnie umył zęby. W drzwiach zatrzymał się, wrócił do kuchni, gdzie w szafce nad zlewem trzymał cukierki eukaliptusowe na odświeżenie oddechu. Jednego włożył do ust, drugiego do kieszeni.

Trzy minuty później wyjechał na Mińską. Skręcił w prawo. Chciał jechać przez Pilczycką, ale przejazd kolejowy był zamknięty, więc pojechał prosto i skręcił w Szczecińską. Na Lotniczą w kierunku Leśnicy wyjechał w okolicach Stadionu Miejskiego. Ruch był niewielki, włączył koguta i pułł ponad sto kilometrów na godzinę.

Dojechał w dziesięć minut. Co prawda GPS zawiesił się zaraz za Leśnicą, ale Marcin znał osiedle Wiosenne, nie miał kłopotu ze znalezieniem właściwego domu. Na podjeździe stały już dwa radiowozy, samochód Sroki, karetka pogotowia i furgonetka ekipy z Zakładu Techniki Kryminalistycznej. Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i wysiadł z auta. Mundurowy policjant rozciągał akurat taśmę zabezpieczającą.

Marcin rozejrzał się. To była spokojna ulica. Po obu stronach stały nowo wybudowane domy wolnostojące, przedzielone pustymi działkami i żywopłotami. Jak na standardy, jakimi kierowali się obecnie deweloperzy budujący podobne osiedla, wokół każdego z budynków było wyjątkowo dużo wolnego terenu. W drzwiach

i przy płotach okolicznych domów pojawiali się obudzeni zamieszaniem mieszkańcy i patrzyli zdziwieni na coraz to nowe policyjne samochody zatrzymujące się na ich ulicy.

Marcin wypatrzył nadkomisarza i zbliżył się do niego szybkim krokiem. Uścisnęli sobie dłonie.

– Co się stało, Stefan?

– Mamy morderstwo. Kobieta, trzydzieści pięć lat, właścicielka domu – odrzekł Sroka.

Niedawno skończył pięćdziesiątkę, miał lekką nadwagę, krótko ścięte siwe włosy i zazwyczaj kamienną twarz. Marcinowi zawsze przypominał zawodowego żołnierza z amerykańskich filmów: niezbyt rozmowny, konkretny do bólu, na jego twarzy rzadko gościł uśmiech. Dopiero parę głębszych sprawiało, że stawał się bardziej podobny do człowieka.

– Kto ją znalazł?

– Mąż.

– O cholera, co z nim?

– Siedzi w kuchni, lekarz z pogotowia próbuje go uspokoić, a Ruciński ma zamiar wydobyć z niego zeznanie.

– Coś już z niego wyciągnął?

– Jeszcze nie wiem.

Przeszli przez furtkę i wyłożoną płytkami ścieżkę przecinającą równo wykoszony trawnik. Lampy ogrodowe były zapalone, więc zanim doszli do drzwi wejściowych, Marcin zdążył się przyjrzeć podjazdowi. Przyszczyżone starannie żywopłoty, wysprzątane liście, wypielęgowane i przygotowane na zimę klomby z kwiatami świadczyły o tym, że albo mieli ogrodnika, albo niedawno wynajęli firmę zajmującą się pielęgnacją zieleni. Widać pieniędzy im nie brakowało.

Dom był duży, miał dwa piętra, poddasze i dwa garaże. Kątem oka Marcin zauważył ścieżkę biegnącą wzdłuż ściany w lewo, do wyjścia na tyły. Pomyślał, że musi się tam później przejść.

Weszli do budynku i zatrzymali się. Paliły się wszystkie światła. Korytarz był szeroki. Na wprost był salon z kominkiem połączony z dużą kuchnią, z lewej strony schody prowadzące na piętro.

Po salonie kręcił się jeden z techników i szukał odcisków palców na ramach okien, drugi zajmował się poręczą schodów. Przy kuchennym stole siedział podkomisarz Michał Ruciński, naprzeciw niego roztrzęsiony właściciel domu, wyglądający na nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Sanitariusz pogotowia ratunkowego akurat wychodził.

– Doszedł do siebie? – zagadnął go cicho Sroka.

– Dałem mu coś na uspokojenie, jest w fatalnym stanie.

Marcin dokładnie rozejrzył się po pomieszczeniach na dole i wrócił do kolegi.

– Bez śladów włamania? – zapytał.

– Chyba tak, jeszcze to sprawdzamy.

– Co dokładnie zaszło?

– Facet wyszedł na brydża do kolegi około dziewiętnastej trzydzieści. Już to sprawdzamy. Mówi, że wrócił chwilę po północy, pokręcił się trochę na dole.

– Sypialnię mają na górze? – domyślił się Marcin.

– Tak. Kiedy chciał się położyć, znalazł okaleczone zwłoki małżonki w łóżku. Jeszcze ciepłe. Morderca musiał być tu bardzo niedawno.

– Przyjedzie ktoś z psem?

– Już powinien tu być, jedzie z drugiego końca miasta.

– Co jej zrobił?

Sroka skrzywił się, co było dosyć niecodzienne.

– Sam zobaczysz – odpowiedział, po czym zwrócił się do technika przy schodach: – Można już na górę?

– Dajcie mi jeszcze parę minut.

– W porządku – odrzekł Marcin. – Co jest za domem?

– Taras, na który można wyjść z pokoju obok, mały basen, kawałek trawnika i budynek gospodarczy, z tego, co zdążyłem zobaczyć – odpowiedział Sroka. – Dalej jest ogrodzenie i las.

– Wysokie?

– Zwykła siatka.

– Chyba nie cierpią na brak gotówki, nie sądzisz?

– Na dom wydali fortunę.

– Trzeba sprawdzić, czy coś nie zginęło.

Poszli do kuchni, stanęli przy stole. Właściciel spojrział na nich zaczerwienionymi oczami.

– Komisarz Marcin Zakrzewski – przedstawił się Marcin. – Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

– Złapcie skurwysyna, który zrobił to mojej Marysi – odrzekł mężczyzna słabym głosem. – Złapcie go...

– Złapiemy, ale musi nam pan trochę pomóc.

– Powiedziałem już wszystko.

Ruciński spojrział w swoje notatki.

– Pan Janus powiedział, że wydawało mu się, że słyszy kroki na górze zaraz po tym, jak wrócił do domu o północy. Myślał, że żona jeszcze nie śpi.

Marcin spojrział na zegarek.

– Teraz jest druga, czyli dwie godziny temu morderca mógł tu jeszcze być – stwierdził. – Gdzie, do cholery, jest ten pies?

Sroka wyciągnął komórkę, wybrał numer i wyszedł na korytarz. Słychać było, jak rozmawia z kimś nerwowo.

– Panie Janus, proszę się teraz przejść po domu z podkomisarzem Rucińskim i sprawdzić, czy nic nie zginęło – zwrócił się do gospodarza Marcin. – Proszę zajrzeć we wszystkie miejsca, w których trzymali państwo cenne przedmioty.

Janus skinął głową, wstał i skierował się do pokoju obok. Michał poszedł za nim. Wrócił Sroka.

– Pies będzie za kwadrans – powiedział.

– Ktoś był na tyłach domu?

– Tak, ja. Morderca mógł dostać się na posesję od strony lasu. Przeskoczyć zwykłą siatkę to nie problem. Uciec mógł w ten sam sposób.

– Cholera, ludzie nie mają wyobraźni – mruknął Marcin. – Mieszkają w miejscu, gdzie psy dupami szczekają, i nawet porządnego ogrodzenia nie zrobią.

Wyszli z kuchni i stanęli przy schodach.

– Już możecie – powiedział technik.

Wolno wchodzili na górę. Pierwszy Marcin, dwa stopnie za nim Sroka. Schody skrzypiały pod ich stopami.

– Kiedy przyjedzie prokurator? – zapytał Marcin.

– A czy oni się kiedyś spieszyli? – Sroka wzruszył ramionami.

Sypialnia znajdowała się po prawej stronie w głębi korytarza. Gdy tylko weszli na górę, Marcin poczuł wiszący w powietrzu słodkawym odór krwi. Nienawidził tego zapachu. Kojarzył mu się tylko ze śmiercią. Poczul gwałtownie wzbierającą falę mdłości.

Wolno zbliżył się do sypialni i zatrzymał na progu. Widział już różne morderstwa, lecz tym razem wzdrygnął się mimowolnie.

Kobieta leżała na wznak na łóżku, naga i cała we krwi. Twarz miała pociętą nożem, podobnie jak piersi, podbrzusze i uda. Krew ściekała po ścianach, znajdowała się na nocnym stoliku i lampce, na dywanie, na oknie, a nawet na suficie i żyrandolu. Pokój wyglądał tak, jakby sprawca wpadł w morderczy szał i zadawał kolejne ciosy ostrym narzędziem z wielkim rozmachem, nie bacząc na bryzgającą wszędzie krew.

– Nie wchodźcie dalej – powiedział technik zabezpieczający ślady. Miał plastikowe ochraniacze na buty, niebieski lekarski fartuch i gumowe rękawiczki. Walizkę z narzędziami postawił w najdalszym kącie, bo tylko tam nie było krwi. Nad zwłokami pochylał się podobnie ubrany lekarz sądowy.

Marcin z trudem przełknął ślinę.

– Macie coś? – zapytał.

– Ślady mordercy i jego buty – odrzekł technik.

– Jak to buty? – zdziwił się Marcin.

– Po wyjściu z sypialni zdjął obuwie – wyjaśnił technik.

– Po co?

– Było zakrwawione, nie chciał zostawiać śladów.

– Dobrze, że coś mamy. – Marcin spojrział z ukosa na Srokę. –

Spotkałeś się kiedyś z czymś takim?

Inspektor był od niego starszy i dużo bardziej doświadczony.

– Nigdy.

Podszedł do nich lekarz.

– Jak zginęła? – zapytał Sroka.

– Ma co najmniej kilkadziesiąt ran kłutych i ciętych zadanych ostrym narzędziem – odpowiedział zmęczonym głosem i zdjął gumowe rękawiczki. – Najprawdopodobniej był to nóż. Ma kilka ran na szyi, na twarzy i jedną w skroni. Moim zdaniem każda z tych ran mogła być śmiertelna. Mogła również zostać uduszona, mogła zostać zgwałcona. Nie mogę powiedzieć nic wiążącego, zanim nie zostanie zrobiona sekcja zwłok. Na pierwszy rzut oka niczego nie można wykluczyć, ale też nie można znaleźć innych śladów niż te po nożu z uwagi na ilość krwi. Aha, i odrąbał denatce prawą dłoń.

Marcin drgnął.

– Słucham?

– Pozbawił ofiarę prawej dłoni.

Teraz dopiero to dostrzegł. Białe kikot kości przedramienia wyglądał jeszcze bardziej przerażająco. Marcin musiał odchrząknąć, zanim udało mu się wydobyć głos z gardła.

– Jak to możliwe?

Doktor popatrzył na niego znad okularów.

– Musiał mieć ze sobą coś w rodzaju bardzo ostrej siekiery lub ciężką maczetę.

– Położył całą rękę na nocnej szafce – wtrącił się technik. – Po śladach na politurze wnioskuję, że były dwa potężne uderzenia. To wystarczyło.

– Jest gdzieś ta dłoń?

– Nie znaleźliśmy.

– Czy ofiara jeszcze wtedy żyła?

– Nie potrafię tego ustalić – odrzekł lekarz.

– Dziękuję, doktorze – powiedział Marcin.

– Mamy też ślady jego dłoni na ścianie – odezwał się technik.

– W którym miejscu? – zapytał Marcin.

– Tu, zaraz za wezłowiec łóżka.

– Nic stąd nie widzę – powiedział Marcin. – Mogę jednak wejść?

– Dobrze, ale włóż ochraniacze na stopy, gumowe rękawiczki i niczego nie dotykaj.



Podał mu worki, takie, jakie zakłada się w szpitalach, i rękawiczki, po czym przeprowadził Marcina bokiem do miejsca, gdzie morderca zostawił ślady na ścianie. Obaj spojrzeli z bliska. Marcin starał się nie zwracać uwagi na leżące obok zmasakrowane ciało. Trudno było mu się oswoić z myślą, że pewnie jeszcze kilka godzin temu była to zadbana kobieta, szykująca się do snu lub nawet już śpiąca spokojnie, z planami na jutrzejszy dzień i na przyszłość. Przypomnił mu się dowcip. Jak skutecznie rozśmieszyć Pana Boga? Opowiedzieć mu o swoich planach na przyszłość. Do bólu prawdziwe.

Około półtora metra nad podłogą morderca musiał dotykać ściany zakrwawionymi rękami. Pierwsze skojarzenie było takie, jakby próbował je wytrzeć.

– Chciał coś napisać? – zapytał Marcin.

– Jeśli nawet, to nie napisał – odpowiedział technik obojętnie.

– Tu jest jakby litera „d”, a potem „i” lub „l”?

– Może i „d”, ale dalej to raczej przypadek...

– Może chciał coś napisać i spłoszył go mąż, wchodząc do domu – odezwał się Sroka.

– Może, może... jak się tu dostał? – zapytał Marcin.

– Chyba przez piętro – stwierdził technik. – Obok w pokoju uchylone jest okno balkonowe. Na poręczu znalazłem ślady krwi.

– Zabezpieczyłeś już balkon?

– Tak, możecie zobaczyć.

Marcin z ulgą wyszedł z sypialni, ostrożnie ściągnął ochraniacze z butów i rzucił je z obrzydzeniem w kąt, głośno przetykając ślinę. Sroka patrzył na niego uważnie i niespodziewanie przez jego twarz przemknęło coś na kształt uśmiechu.

– Po tylu latach jeszcze odruch wymiotny? – zapytał.

Marcin się skrzywił.

– To chyba dobrze? – odpowiedział pytaniem. – To znaczy, że jeszcze nie straciłem ludzkich cech w tym popieprzonym świecie. Ty nie masz?

Sroka tylko wzruszył ramionami. Marcin pomyślał, że milczy, by nie musieć odpowiadać twierdząco.

Poszli do drugiego pokoju, gdzie przy otwartych drzwiach balkonowych falowała firanka poplamiona krwią. Marcin przesunął ją, trzymając dłoń z daleka od plamy, i wyszedł na przestronny balkon. Wszystkie światła były włączone, więc cały teren aż po ogrodzenie był dokładnie widoczny. Tak jak mówił Sroka, po lewej stronie znajdował się kilkumetrowy basen przykryty folią na zimę, obok mały trawnik z drewnianym gazebo, gdzie można było usiąść w cieniu w upalne dni, dalej przy samym ogrodzeniu mały budynek gospodarczy. Za ogrodzeniem szumiał las. Jeśli morderca przyszedł stamtąd, a potem wrócił tą samą drogą, nie było wielkich szans, żeby go tam znaleźć. Obejrzeliby dokładnie poręcze balkonów, lecz nie dostrzegli śladów krwi, o których mówił technik. Na wszelki wypadek niczego nie dotykali.

Po prawej stronie balkonu, na ścianie, zamontowany był drewniany stelaż, po którym piął się bluszcz aż po sam dach – ułatwienie dla przestępców. Po takim stelażu na balkon mogło wspiąć się nawet dziecko. Sroka westchnął i sięgnął po papierosa. Zakrzewski stał zamyślony, patrząc na las, potem spojrział w górę, gdzie wiatr gonił po rozgwieżdżonym niebie pojedyncze obłoki. Teraz dopiero poczuł, że jest mu zimno. Była końcówka września i noce robiły się coraz chłodniejsze.

– Zapalisz? – zapytał Sroka.

Marcin nigdy nie palił nałogowo, ale w takich chwilach lubił zaciągnąć się dymem.

Palili, nic nie mówiąc. Wreszcie odezwał się starszy policjant:

– To będzie główniana sprawa, Marcin.

– Tak myślisz?

– Jeśli motyw nie był rabunkowy, na co mi wygląda... Jeżeli nie była to zemsta niezrównoważonego kochanka albo jakieś porachunki półświatka, mamy do czynienia ze świrem, jakich mało chodzi po tym świecie.

– Trzeba sprawdzić, czy w ostatnich latach nie było czegoś podobnego gdzieś w kraju – odrzekł Marcin.

– Słusznie. – Sroka pokiwał głową i skrzywił się. – Boję się, że on to lubi.

– No tak, bo po co miałby zabrać dłoń ofiary?

– Kolekcjoner?

– Boję się potwierdzić.

– To będzie trudna sprawa – powtórzył Sroka.

Prowadzili razem niejedno śledztwo. Sroka był starszy stopniem i bardziej doświadczony, ale na ogół pozostawał na drugim planie, pozwalając Zakrzewskiemu działać. Wtrącał się tylko wtedy, kiedy miał jakiś pomysł lub kompletnie się z Marcinem nie zgadzał. Taka sytuacja zdarzyła się zresztą tylko raz, kiedy prowadzili śledztwo w sprawie pobicia właściciela kantoru ze skutkiem śmiertelnym. Wtedy Sroka miał rację.

Wyrzucili niedopałki na trawnik i weszli do domu.

– Rozejrzę się w pobliżu ogrodzenia – powiedział Marcin.

– Już tam sprawdzałem – odrzekł Sroka.

– I co?

– Nic.

– Jednak popatrzę.

Po drodze przystanęli jeszcze na progu sypialni. Błady jak ściana fotograf robił zdjęcia, a technik z lekarzem pokazywali mu, gdzie ma skierować obiektyw. Zeszli wolno na dół.

– Cholera, napiłbym się kawy – powiedział Marcin.

– Ja też – przyznał Sroka.

Nie zauważyli męża zamordowanej, który wyszedł wraz z Rucińskim z pokoju po lewej stronie.

– To może ja panom zrobię – powiedział słabym głosem.

Widać było, że chce się zająć czymkolwiek, żeby tylko choć przez chwilę nie myśleć o tragedii. Sroka popatrzył na niego z wahaniem.

– Jeśli byłby pan tak miły...

– Tak, tak, już nastawiam ekspres!

Janus zniknął w kuchni. Marcin popatrzył na Michała.

– Zginęło coś? – zapytał.

– Nic. Wszystko jest na swoim miejscu – odrzekł Ruciński. – W meblach mają poupychane dolary, euro i co najmniej kilogram złota.

– Czym zajmuje się ten Janus? – zainteresował się Sroka.

– Jest prezesem dużej zagranicznej firmy. Pewnie zarabia kupę kasy.

– Gdzie są duże pieniądze, są też niezdrowe emocje – rzucił filozoficznie Sroka. – Sprawdzisz rano interesy pana Janusa.

– Jasne.

– Teraz idź za nim do kuchni, żeby nie przyszło mu do głowy jakieś głupstwo.

Czekając na kawę, wyszli przed dom. Mimo bardzo późnej pory przy taśmach zabezpieczających teren było jeszcze więcej gapiów. Pewnie wieści o morderstwie dotarły już do sąsiadów. Plotki zawsze rozchodziły się w sposób zaprzeczający zdrowemu rozsądkowi. Mundurowi policjanci stali na straży, nie wpuszczając na posesję nikogo niepowołanego. Marcin pomyślał, że lada chwila pojawią się reporterzy z wrocławskich gazet, a zaraz za nimi ekipa telewizyjna. Podjechały kolejne dwa oznakowane radiowozy. Wysiedli z nich policjanci, którzy mieli ochraniać teren. Nadal nie było prokuratora i policjanta z psem.

– Mówiłeś, że morderca może to lubić – powiedział Marcin. – Zakładając, że tak jest... jak myślisz, co teraz robi?

– Coś brzydkiego w domowym zaciszu? Wiesza pamiątkę z dzisiejszej nocy na ścianie w sypialni?

Przez wyobraźnię Marcina przemknęła taka wizja. Z trudem skupił się na czymś innym.

– Nie o tym myślałem – powiedział, kręcąc głową. – Może ma wielką satysfakcję, obserwując zamieszanie które wywołał?

– Jest dumny z tego, co zrobił?

– Do tego ma nas za głupków i czuje się bezkarny.

– Nie uciekł?

– Jest gdzieś blisko, gdzie spokojnie, nie rzucając się w oczy, obserwuje nasze działania.

Sroka zmierzył Zakrzewskiego poważnym spojrzeniem.

– Naoglądałeś się amerykańskich filmów o psychopatach – powiedział.

– Uważasz, że fantazjuję?

– Widziałeś, ile krwi było w sypialni? Musiałby wziąć prysznic i się przebrać.

– Może tak zrobił.

Sroka wzruszył ramionami.

– Idę na kawę.

– Też zaraz przyjdę, tylko rzucę okiem na gapiów.

Marcin wolnym krokiem podszedł do bramy i stanął obok jednego ze znajomych policjantów. Przywitał się i zaczął obserwować stojących, starając się nie robić tego zbyt nachalnie. Na chodniku naprzeciw domu dwaj mężczyźni palili papierosy i patrzyli na oświetlony dom Janusów. Co chwilę wymieniali między sobą jakieś uwagi. Obaj wyglądali, jakby niedawno wstali z łóżka. Trochę dalej przystanął mężczyzna około trzydziestki w kurtce zarzuconej na szlafrok. Po lewej stronie, w pobliżu bramy sąsiedniego domu, kilka osób cicho rozmawiało. Kobiety sprawiały wrażenie przerażonych, mężczyźni za ich plecami również mieli posępne miny. Inni ludzie, stojący w różnych miejscach na ulicy, pojedynczo i grupami, też wyglądali na mieszkańców i nie wzbudziły podejrzeń Marcina.

Wrócił do kuchni, skąd rozchodził się wspaniały aromat kawy. Okazało się, że amatorów jest więcej i cała ekipa śledcza trzymała filiżanki w dłoniach, pijąc łapczywie. Właściciel znowu nastawił ekspres.

Ruciński wskazał filiżankę stojącą na stole i powiedział do Marcina:

– Ta jest twoja.

– Dzięki.

Kawa była wyśmienita. Marcin poczuł, jak przyjemne ciepło rozlewa mu się po brzuchu i na chwilę zapomniał o dokuczającym mu coraz bardziej chłodzie nocy. Wypił szybko i zwrócił się do gospodarza.

– Przepraszam, może mi pan powiedzieć, co jest w budynku gospodarczym na tyłach posesji?

– Mamy tam składzik na narzędzia do ogrodu, rowery i różne inne rzeczy – padła odpowiedź. – Wie pan, tyle się tego gromadzi. Żona...

Urwał nagle i przymknął oczy, zaciskając usta.

– Mogę tam zajrzeć? – zapytał Marcin.

– Oczywiście. Tylko...

– Tak?

– W sobotę rano zepsuła się instalacja elektryczna i jeszcze nie usunąłem awarii.

– Rozumiem, a ma pan może latarkę?

– Chwileczkę.

Janus przejrzał zawartość szuflad w szafce przy oknie, wreszcie podał Marciniowi małą latarkę ledową na korbkę.

– Tylko taką – powiedział przepraszająco. – Trzeba pokręcić...

– Rozumiem. Pójdę tam na chwilę. Tylko zostawcie mi trochę kawy.

– Postaramy się – odrzekł Sroka.

Marcin ruszył na tyły ścieżką wzdłuż domu. Światła na tarasie były włączone, podobnie jak światła we wszystkich pokojach w domu, więc było bardzo jasno. Dobra widoczność kończyła się równo z ogrodzeniem, za którym szumiał cicho las.

Marcin obszedł basen, zajrzał do altany, przeszedł wzdłuż ogrodu, szukając śladów. Nie był jednak w stanie określić, w którym miejscu morderca sforsował ogrodzenie. Wreszcie stanął przed wejściem do budynku gospodarczego. Janusom musiało żyć się naprawdę dostatnio, wiele domów miało mniejsze garaże. Kręcił korbką latarki przez jakąś minutę, po czym wszedł do środka, nie domykając drzwi, żeby mieć więcej światła.

Stanął dwa metry od wejścia i uważnie rozglądał się po pomieszczeniu, świecąc sobie latarką. Tak jak powiedział właściciel, budynek był graciarnią. Z zewnątrz pięknie odmalowany i zadbane, w środku wyglądał zgoła inaczej – bałagan, kurz, pajęczyny, sprzęty domowe ułożone bez żadnego ładu. Z lewej strony rowery, potem trzy różne kosiarki do trawy, stare meble, części do samochodu, zwinięta niedbale siatka do tenisa ziemnego, piłki do koszykówki i kosz z porwaną siatką. Bałagan kontrastował z idealnym porządkiem w domu. Pewnie dom był królestwem niepracującej żony właściciela, a on rządził tutaj. Innego wytłumaczenia nie było.

Nagle jakiś cień zasłonił światło wpadające przez otwarte drzwi. W pierwszej chwili Marcin pomyślał, że drzwi się same przymknęły, lecz kiedy w nozdrza uderzył go słodkawy odór krwi, taki sam jak w sypialni na pierwszym piętrze, zrozumiał swój błąd. Odwrócił się gwałtownie i wyłącznie dlatego ukrywający się tu przez cały czas morderca odrobinę chybił. Cios metalową rurką miał trafić Marcina w głowę, lecz przeciął tylko skórę nad skronią i padł na ramię. Przed oczami eksplodowały mu tysiące kolorowych iskier, na moment nogi się pod nim ugięły i upadł na kolana. Nie minęły jednak dwie sekundy, jak doszedł do siebie i zerwał się z powrotem na nogi, wyszarpując pistolet z kabury pod pachą.

– On tu jest!! – wrzasnął na całe gardło. – Stefan, morderca tu jest!!

Był pewien, że jego wrzask w ciszy nocy słyszało co najmniej pół osiedla Marszowice. Napastnika już nie było. Marcin wybiegł na zewnątrz i kątem oka zobaczył, jak przeskakuje przez ogrodzenie i znika w lesie. Nie zdążył nawet podnieść broni. Nie zastanawiając się, rzucił się za nim w pogoń. Wdrapał się na siatkę i przeskoczył na drugą stronę w wysoką trawę i pędy jeżyn. Wydawało mu się, że widzi plecy mordercy znikające za najbliższymi drzewami. Ruszył biegiem, w jednej ręce trzymając pistolet, w drugiej latarkę. Po kilku krokach musiał otrzeć lepką ciecz kapiącą mu z czoła na policzek i oko. Jego krew! Nie czuł nawet bólu rozbitej głowy, tylko uczucie pulsującego gorąca. Miał nadzieję, że ktoś z ekipy widział, w którym miejscu przeskoczył przez ogrodzenie, i że ruszyli za nim do lasu.

Przedzierał się przez krzaki i gałęzie. Latarka dawała niewiele światła i właśnie zaczynała przygasać. Nigdzie nie widział śladu napastnika. Jeśli znał dokładnie ten las, mógł być już daleko stąd. Gdzie, do jasnej cholery, jest pies?! Teraz przydałby się najbardziej.

Marcin zatrzymał się, nie widząc sensu dalszego pościgu w ciemnościach. Tym bardziej że głowa zaczęła go boleć i w nogach coraz wyraźniej czuł dziwną słabość.

Nagle jakaś ciemna postać skoczyła na niego z boku i powaliła na ziemię. Pistolet wypadł mu z ręki, a latarka upadła metr dalej i cały czas przygasała. Morderca bardzo sprawnie przycisnął go

kolanami i unieruchomił w stalowym uchwycie. Marcin nie miał siły się bronić. Nawet nie zdążył się przestraszyć. Był przekonany, że za chwilę pojawi się któryś z policjantów i zastrzeli bydlaka.

Leżał twarzą do ziemi i nie widział napastnika. On tymczasem pochylił się nad nim nisko i szepnął mu do ucha:

– Wiesz, że widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach?

Marcin Zakrzewski poczuł lodowaty dreszcz przerażenia na plecach.



Polub nas  
na Facebooku



**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



## JAKIE TAJEMNICE SKRYWA PRZYKOŚCIELNY SAD?

Komisarz Marcin Zakrzewski zostaje wezwany do brutalnego morderstwa na jednym z osiedli na obrzeżach Wrocławia. Podczas pościgu za zabójcą słyszy od niego tajemniczy przekaz: „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Te same niepokojące słowa usłyszał trzydzieści lat wcześniej z ust brata bliźniaka, który zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Zakrzewski wraca do sprawy z przeszłości. Szybko odkrywa, że spokojna podwrocławska wieś, z której pochodzi, od wojny jest milczącym świadkiem zaginięć także innych dzieci. Te tragiczne zdarzenia łączą się z kolei z morderstwami popełnionymi obecnie. Czy to możliwe, żeby ten sam sprawca działał nieprzerwanie od siedemdziesięciu lat?

*Uwaga, tu jest niebezpieczna intryga! Chciałem tylko zerknąć,  
a wyzwoliłem się po dwóch nocach i jednym dniu.  
Nie wiedziałem, że lubię się bać. To tylko powieść, ale...*

**Tomek Wołodźko, Radio Eska**



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł